

Komendant Posterunku
Jan Kamiński,
starszy przodownik Policji Państwowej
podpis nieczytelny

Do Posterunku Policji Państwowej
w Łęczynie [tak w źródle – JŁ]

Budżetu uchwalenie na
rzec Posterunku

Pod tekstem meldunku pieczęć wpływu:
Komenda Powiatowa Policji Państwowej
w Lubartowie
Weszło 6 III 1934

Nr 12
Pismo Komendanta Powiatowego Policji
Państwowej J. Krzeczowskiego
do Komendanta Posterunku w Łęcznej
starszego przodownika Jana Kamińskiego
z 7 III 1934 roku⁵

Oryginał, tamże, k. 52v

7 marca 1934 r.

⁵ Tekst dopisany na maszynie na odwrocie meldunku
z 6 III 1934 roku.

Nawiązując do tamtejszego meldunku informacyjnego z dnia 4 marca bieżącego roku polecam zgłosić mi dodatkowo czy sumę 200 zł Zarząd Miejski w Łęczynie [tak w źródle – JŁ] uchwalił tylko na mieszkanie dla komendanta czy razem z sumą uchwaloną na światło i umeblowanie dla posterunku Policji Państwowej w Łęczynie [tak w źródle – JŁ], oraz w jakiej sprawie Komendant Posterunku prosi o poparcie Pana Starosty.

Komendant Powiatowy Policji Państwowej
J. Krzeczowski, komisarz
podpis nieczytelny

Adnotacje niebieskim ołówkiem: „do akt” podpis
nieczytelny, „omówić” podpis nieczytelny.

Łęczna – Holokaust

(wspomnienia świadka)

Romuald
Dylewski

Wprowadzenie

Jest to trzecia i ostatnia część cyklu wspomnień „Łęczna – miasteczko żydowskie, jego życie i śmierć – wspomnienia i refleksje”. Dwie części ukazały się w poprzednich numerach Merkuriusza: „Łęczna – miasto żydowskie – refleksje urbanisty” (25/2012) i „Łęczna – nasze żydowskie sąsiedztwo – wspomnienia z lat dziecińczych” (26/2013).

Tytuł części ostatniej – „wspomnienia świadka” Holokaustu w Łęcznej wymaga komentarza już na wstępie. Nie jest to spójna, a tym bardziej względnie pełna relacja z tych niezwykle w historii miasta wydarzeń (co tytuł mógłby sugerować), ale raczej niewielki i dosyć przypadkowy zbiór luźnych fragmentów wspomnień. Moje świadectwo tych wydarzeń jest niestety bardzo fragmentaryczne, nie w całości też bezpośrednie. W okresie szczytowego ich nasilenia, w roku 1942, mieszkam faktycznie w Lublinie, tam chodziłem do szkoły, technikum budowlanego, gdy tylko mogłem, przyjeżdżałem jednak do rodziców, w tym – niemal na każdą niedzielę. W owym listopadowym dniu tego roku, gdy dokonywano ostatecznej likwidacji getta, nie było mnie w Łęcznej. Byłem tam jednak tuż przedtem i tuż potem, widziałem ślady, słyszałem świeże relacje, czułem atmosferę, także straszliwy zapach rozkładających się ciał... I to mi wystarczyło. Na całe życie.

Holokaust to jednak nie tylko ten jeden Dzień. Eksterminacja ludności żydowskiej trwała praktycznie od początku okupacji niemieckiej, od pierwszych miesięcy ich rządów. Przez większość tego okresu przebywałem w Łęcznej, byłem więc siłą rzeczy świadkiem tego co się działo. Choć, trzeba wyjaśnić, że świadkiem bardziej zewnętrznym i przypadkowym, fragmentarycznym, niż można by oczekiwać... Takie były okoliczności tamtego okresu. Od chwili wejścia do Łęcznej władze niemieckie rozdzieliły obie zamieszkujące tu od wieków razem społeczności miasteczka barierą, początkowo psychiczną i formalną, potem też fizyczną... Wszelkie kontakty niemal od razu zanikły, możliwości śledzenia wydarzeń także... Mimo to, mimo że są marginalne i fragmentaryczne, świadectwa te myślę, że są zachowania, choćby dlatego, że są prawdziwe, są w większości zapisem moich własnych przeżyć bądź przekazem przeżyć moich bliskich, bezpośrednio po zdarzeniach... A także dlatego, że zdarzenia te i przeżycia dotyczą sprawy o tak wielkim wymiarze i randze...

Pełnym wymiarem tych faktów były ponad trzy lata narastających nieludzkich represji i w końcu – wymordowanie praktycznie wszystkich Żydów w Łęcznej, stanowiących ponad połowę mieszkańców tego miasta... A była to przecież tylko drobna część znacznie większej całości. Nie zapominajmy, że podobny los spotkał

Żydów w pozostałych miastach i miasteczkach Polski, a także w całej okupowanej przez Niemców Europie. Taka była historyczna skala tych wydarzeń. Wprawdzie była to wojna światowa, globalna, ofiar były dziesiątki milionów (zginęło łącznie ponad 70 mln żołnierzy i cywilów), ale nawet na tym tle Holokaust, będąc niemałym tego udziałem ilościowym (ok. 8%), pozostaje w wymiarze okrucieństwa świadectwem bezprecedensowego historycznie ludobójstwa, dokonanego przez jego zwyrodniałych autorów i wykonawców w XX wieku, w cywilizowanej, kulturalnej Europie, w pozorach prawa, w istocie niezależnie od wojny, pod jej jedynie pretekstem i w jej atmosferze.

1. Wojna i „incydent sowiecki”

Co najmniej od roku 1938, ale zwłaszcza od początku 1939 coraz częściej mówiło się w Polsce (w gazetach, w domach), także w Łęcznej o możliwości wybuchu wojny z Niemcami. Atmosfera polityczna gęstniała. Od kilku już lat Europa była stawiana przed coraz to nowymi faktami dokonywanymi, coraz nowymi niemieckimi „aneksjami” gwałcącymi prawa międzynarodowe. Przyjmowane to było u nas jeszcze ze względny spokojem. Nawet wtedy, gdy na początku roku 1939 nasz zachodni sąsiad zainteresował się polskim terytorium, Pomorzem, i na co odpowiedział mu rząd polski zdecydowanym ostrzeżeniem, paniki nie było. Ludzie w Polsce przeżywali już w latach trzydziestych podobne emocje, a to groźba „wojny z Litwą”, a to „wojny z Czechami”, z czego nic nie wyszło, i teraz tak naprawdę w wojnę nie bardzo wierzone. Życie toczyło się normalnie, latem ludzie wyjeżdżali na wakacje, letniska, nie było większego poczucia nadchodzącego kataklizmu... Poważniej sprawę potraktowano dopiero, gdy niespodziewanie, jeszcze w atmosferze wakacyjnej, w ostatnim dniu sierpnia, ukazały się plakaty o powszechnej mobilizacji (koło nas plakat taki wywieszono naprzeciwko, na domku kościelnego, przy ulicy Lubelskiej). Ale nawet wówczas, pamiętam, że większość społeczeństwa, ci których mobilizacja nie dotyczyła, traktowała sprawę spokojnie. Ja cieszyłem się, że może opóźni się rozpoczęcie roku szkolnego, nie trzeba będzie wyjeżdżać do Lublina już jutro... Nawet gdy wojna faktycznie wybuchła w następny rano, pierwszego września, przyjęto to raczej z zaskoczeniem. Nie docierała też do świadomości ludzi, przynajmniej w Łęcznej, jej groza. Wierzone plakatami, że jesteśmy „zwarczi, gotowi...”. Wierzone, że jeśli nawet wojna będzie, to gdzieś daleko, na granicy niemieckiej i w samych Niemczech, po wejściu tam polskich wojsk, że w każdym razie nie dotknie ona Łęcznej.

W tej raczej pogodnej atmosferze toczyły się po domach rozmowy. Nasi żydowscy sąsiedzi wiedzieli wprawdzie, że „Hitler, Niemcy Żydów nie lubią, a nawet podobno biją”, ale nie wiązali tego ze swoim osobistym losem, żartowali sobie. Nasza najbliższa sąsiadka, pani Goldbergowa mówiła zadziornie, że gdyby Niemcy pojawili się w Łęcznej, toby „po prostu na próg ich nie wpuściła...”, a gdyby próbowali wejść do jej

domu na siłę, „to by im oczy witrlolem wypaliła...”.

Po wybuchu wojny nastroje zaczęły się jednak gwałtownie zmieniać. Niepokój z dnia na dzień narastał. Wprawdzie w Łęcznej nie było nalotów, ale nadchodzące informacje były coraz straszniejsze. Prasa przyznawała, że to nie Polacy zajmują Niemcy, ale odwrotnie... Już drugiego września bombardowany był Lublin. Przez Łęczną zaczęły przejeżdżać coraz licznej – „na Wschód” – samochody, rowery, pojazdy konne z przerażonymi uciekinierami z miast zachodnich, centralnych, potem całe sznury przerażonych i przekazujących hiobowe wieści uciekinierów pieszych, czasami oddziały wojska. Powołano tzw. straż obywatelską, częściowo umundurowaną, która miała wspomagać policję w utrzymaniu porządku (wstąpił do niej m.in. mój stryj Bolesław Dylewski). Nad wystraszone miasto przelatywały niemieckie samoloty, w każdej chwili spodziewano się nalotu i bomb... Narastała psychoza ataku gazowego, nakazano oblepiać szyby w oknach paskami papieru, optymistycznie wierząc, że będą chronić mieszkańców przed gazem...

Miejscowi Żydzi przeżywali tę sytuację podobnie jak Polacy. Nadejście Niemców stawało się jednak coraz bardziej prawdopodobne, żarty się skończyły. Sklepy mimo to musiały być otwarte, dbała o to straż obywatelska. Dbała również o to, by właściciele sklepów nie chowali towarów, co się zdarzało. Powstawały względnie niewinne jeszcze konflikty, jak np. konfiskata ukrytych towarów. Pamiętam opowieści stryja o znalezionych i skonfiskowanych w ten sposób tabliczkach czekolady w sodówce, koło magistratu, „u Frydmanki” (przyniósł mi kilka zarekwirowanych w ten sposób tabliczek). Rewizje takie dotyczyły oczywiście również nielicznych sklepów polskich.

16 września Niemcy doszli do Lublina. 17 września dotarła wiadomość o wejściu na wschodnie obszary Polski Armii Czerwonej, 18 września Niemcy zdobyli Lublin i doszli do Wierza, a więc – i do Łęcznej.

Do samego miasta w Łęcznej nie wchodzili, nie przekraczali rzeki (nie wiedzieliśmy wtedy, że tak dostosowują się do tajnych układów ze Związkiem Radzieckim), rozłożyli się obozem na nadwierzprzańskich łąkach, ale sytuacja stała się i tak ekstremalnie napięta i przedziwna: tuż za rzeką Niemcy, polskich władz właściwie już nie ma, żołnierze polscy, jeśli się pojawiają, to aby przejść przez Wierpę i oddać Niemcom broń, idąc teraz „na Zachód”... W efekcie stopy polskich karabinów leżały przy drodze, tuż za zniszczonym mostem. Patrzyłem na to ze ściśniętym sercem, gdy wracaliśmy z Lublina, dokąd nas, rodzinę, wywiozł mój ojciec na kilka dni przed zajęciem tego miasta przez Niemców, uważając, po doświadczeniach pierwszej wojny światowej, że w Lublinie będzie bezpieczniej przeżyć front niż w Łęcznej... Przeżyliśmy rzeczywiście wejście wojsk niemieckich do Lublina, pierwsze dni okupacji niemieckiej w tym mieście i wróciliśmy do Łęcznej, jeszcze formalnie wolnej, choć Niemcy tuż za rzeką... Po kilku dniach okazało się, że wolnej faktycznie: do miasta wszedł, idąc ze

wschodu, znaczny oddział wojska polskiego i wcale nie po to, by składać broń za mostem, ale by walczyć. I walczyli. Walka była krótka, skuteczna, Niemcy zostali zaskoczeni nie mniej od nas. Efekt: groza bitwy, ale bitwy wygranej (!)... nasza radość i nowa nadzieja... Nawet mieliśmy szczęście widzieć sznur niemieckich żołnierzy, idących ulicą Lubelską od strony Wieprza do miasta, jak się okazało, nie by je zajmować (jak się nam w pierwszej chwili w przerażeniu wydawało), ale do... polskiej niewoli... Dla nas, którzyśmy przeżywali kilka dni wcześniej polską klęskę i triumf Niemców w Lublinie, obraz niewiarygodny, ale prawdziwy i krzepiący. Tymczasem nasz dom na piętrze napelnił się przywożonymi z bitwy rannymi żołnierzami, niemieckimi i polskimi, także kilku cywilami ranionymi przypadkowo. Utworzono tam szpital polowy, który formalnie, pod opieką polskiego wojskowego personelu lekarskiego, funkcjonował około jednej doby. Następnie, po dokonaniu niezbędnych zabiegów medycznych, w tym kilku poważnych operacji, lekarze ci odeszli wraz z wojskiem na zachód, w kierunku Lublina i Warszawy, pozostawiając nam cały szpital, z około 30 rannymi, niektórymi ciężko – jak się okazało – na około dwóch tygodni.

W czasie gdy zajmowaliśmy się rannymi w naszym domu, pozostawionymi w istocie pod naszą opieką, mojej rodziny, z pomocą tylko miejsciego lekarza dr. Niechaja i kilku pań ze Związku Pracy Obywatelskiej Kobiet, pojawiły się w Łęcznej nowe władze – sowieckie. Nim jeszcze objawiły się fizycznie, ukazały się ulotki, jedna z nich, na murze kościoła, rozpoczynała się od słów: „Po dwudziestu latach niewoli...” przychodzi nas „oswobodzić”. Zawiał strachem, nie wiedzieliśmy kogo mamy się więcej bać? Któregoś dnia ujrzałem ich w końcu naocznie, grupa oficerów sowieckich, z pistoletami w rękach, przyszła zobaczyć „szpital”, gdy się dowiedzieli, że leżą tam ich ranni sojusznicy – żołnierze niemieccy i potencjalni jeńcy – żołnierze polscy. Przyjechali potem po rannych Polaków, zabrali wszystkich... Po Niemców przyjechały w kilka dni później sanitarki wojskowe niemieckie, budząc zainteresowanie gromady dzieci polskich i żydowskich... Niemcy! Szpital opustoszał. Niedługo potem władze sowieckie także opuściły Łęczną. Weszli w końcu do miasta Niemcy... Skończył się okres chaosu wojennego, zaczęła się okupacja...

Losy żydowskich mieszkańców Łęcznej w dniach tego chaosu były podobne jak Polaków. Siedzieli przerażeni w domach, oczekując niewiadomej przyszłości. Nie mieli już złudzeń, że z wejściem Niemców czekają ich jakieś problemy, przykrości, represje, może nawet pogromy... Wierzyli jednak, że to wszystko będzie „w ludzkim wymiarze”, bo nawet wtedy, w najśmielszej wyobraźni – ani Żydów, ani Polaków – nie mieściło się to, co faktycznie się stało. Czekali więc z uzasadnionym, ale jeszcze znośnym strachem przyjścia Niemców, którzy przecież od kilku dni stali tuż-tuż, za rzeką, na łąkach. Gdy nagle, „Niemcy zostali pobici”, a weszli Sowieci, radość ludności żydowskiej miasteczka była zrozumiała. Nie była to zresztą radość ostentacyjna, raczej uczucie ulgi i powrót nadziei...

Wtedy też zarysowała się różnica reakcji: dla Polaków zarówno Niemcy, jak i Sowieci byli wrogami, okupantami, ale zarazem ludźmi (jak się okazało po doświadczeniach szpitala polowego). Dla Żydów Niemcy byli zagrożeniem, wprawdzie jakościowo niewiadomym jeszcze, ale na pewno poważnym, Sowieci – nadzieją na jakieś takie życie. Trzeba tu zauważyć, że stosunek ludności żydowskiej do władz sowieckich nie był jedno-myślny. Ideologicznymi zwolennikami władzy ze Wschodu byli jedynie komuniści, członkowie partii, nie wiem, ilu ich było, może kilkudziesięciu? Głównie młodych, ubogich chłopców. Ich entuzjazmu na pewno nie podzielali bogaci Żydzi (na przykład państwo Goldbergowie), widząc poważne zagrożenie dla siebie ze strony komuny. Ale nawet pozostali żydowscy mieszkańcy miasteczka, średnio zamożni czy ubodzy, ale z reguły religijni, dalecy byli od sympatii do Sowieców, narzucających ateizm. Interesujące dla wielu Żydów były wprawdzie internacjonalne wątki ideologii, dające nadzieję na pozbycie się upokorzeń narodowościowych, ale to było za mało na zdobycie sympatii. Niemniej wejście wojsk sowieckich, nie niemieckich, dla nich wszystkich było zrozumiałą ulgą, jeśli nie radością.

W realiach Łęcznej września 1939 roku wyraziło się to przede wszystkim faktem utworzenia, głównie przez młodych łęczyńskich komunistów, a więc Żydów, nowej administracyjnej władzy miasteczka. Nie pamiętam, jak się ten organ nazywał – jakoś bardzo po bolszewicku, zaprezentował się w każdym razie imiennie, w rozwieszonych ulotkach. Jego siedzibą stał się dotychczasowy magistrat. Tylko na szefa tego nowego „rewolucyjnego” tworu, na jakiegoś „komisarza wojennego” miasta powołano komunistę Polaka (byli też i tacy), w średnim wieku, rolnika z Witaniowa – Franciszka Mroza. Resztę stanowili młodzi Żydzi. Żadne poważniejsze represje jeszcze się nie zaczęły, za krótki był okres ich władzy, ale atmosfera, pamiętam, była dla nas, Polaków straszna. A dla naszych żydowskich sąsiadów raczej pogodna, relaks. Pamiętam zabawną, zarazem wymowną historię z tamtych dni: Była piękna słoneczna pogoda, sobotni szabas, żydowscy mieszkańcy Łęcznej wystrojeni, zrelaksowani wyszli masowo na spacer – panie, rodziny, dzieci... Na zakręcie ulicy Lubelskiej, przed naszym domem, spacerowicze przechodzili tuż obok postawionego na warcie żołnierza sowieckiego, takiego, jakich często opisywano: w obstrzępionym szynelu, z woreczkiem zamiast plecaka, w ręku karabin ze „sztykiem”, twarz wiejskiego chłopca, nawet sympatyczna. Jedna ze spacerujących pań żydowskich, zaczepiona akurat przez polskiego przechodnia, poskarżyła się żołnierzowi: „słodat, on na mnie mówi – Jewrej”. Na to żołnierz: „no chtoż, a ty nie Jewrej?”. Incydent ten obrazuje nie tylko czasem śmieszne nieporozumienia językowe, ale i atmosferę tamtych dni nieulicznych... Chyba po niecałych dwóch tygodniach Sowieci zniknęli, niepostrzeżenie, tak jak się pojawili. Wyjechało z nimi kilkudziesięciu młodych Żydów, głównie komunistów, ale nie tylko, bo i kilka rodzin. Wśród tych, którym udało się wówczas uciec, jak się mówiło, „za Bug”, była rodzina

naszego sąsiada, pana Litmana (wrócili szczęśliwie po wojnie, zamieszkali w Lublinie). Uciekł też syn naszego najbliższego sąsiada, pana Goldberga – Motylek Goldberg, niekomunista, ale męski, przytomny i sympatyczny młody człowiek (ten nie wrócił, ślad po nim zaginął).

Do Łęcznej wjechali Niemcy, też niemal niepostrzeżenie, bez ostentacji.

2. Niemcy – przed dniem zagłady

Był już październik, gdy Niemcy w Łęcznej się usadowili i zaczęli wprowadzać swoje porządki. Nakazali policjantom i urzędnikom magistratu podjąć przerwana wojną pracę. Mój ojciec zaczął znów pracować w magistracie. Ja pojechałem do Lublina, bo gimnazjum Staszica jednak zostało otwarte, wprawdzie nie we własnym budynku (ten został zdewastowany przez kwaterujących niemieckich żołnierzy frontowych), ale lekcje się odbywały w jakichś zastępczych pomieszczeniach, przez kilka tygodni... aż do dnia, gdy wkroczyli żandarmi i szkołę zamknęto, bo, jak powiedzieli „naukę rozpoczęliśmy bez zezwolenia”. Nauczycieli zatrzymali, nam pozwolili iść do domu. Wróciłem więc do Łęcznej. W międzyczasie żołnierze niemieccy zajęli na kwaterę całe piętro naszego domu, tam gdzie jeszcze kilka tygodni przedtem był szpital polowy, a na parterze mieszkaliśmy my i nadal, tak jak przed wojną – rodzina państwa Goldbergów. W starym naszym domu mieszkali też jeszcze Żydzi, państwo Segalowie.

Od pierwszych dni okupacji zaczęły się też represje. Dotyczył zarówno Polaków, jak i Żydów, choć różnie. W Łęcznej poszukiwano uczestników bitwy nad Wieprzem, kilkunastu chłopców, mężczyzn, którzy przyłączyli się wtedy ochotniczo do żołnierzy, kilku aresztowano, następnie zamordowano, m.in. Konstantego Burlika, naszego sąsiada. Gestapo aresztowało też Jurka Iwanickiego, działacza harcerskiego, mojego nieco starszego kolegę, byłem u niego kilka dni przedtem, rozmawialiśmy, snuli plany... Widziałem też, jak go wywozili odkrytym samochodem ulicą Lubelską, koło naszego domu, akurat byłem w ogródku przy ulicy. Siedział między dwoma wojskowymi w mundurach SS, wyglądał na szczęśliwego, jak triumfator, gładził swoje piękne faliste ciemne włosy, nie wiem, czy mnie dostrzegł... Po kilku tygodniach już nie żył. Dochodziły głosy z Lublina o kolejnych egzekucjach inteligencji polskiej, w tym – naszych bliskich znajomych: o śmierci dyrektora mojego gimnazjum im. Staszica Tadeusza Moniewskiego czy doktora Wacława Niechaję, który jeszcze niedawno był jedynym lekarzem szpitalika w naszym domu, pełnego rannych żołnierzy, głównie niemieckich, ofiarnie zaangażowanym w ich leczenie.

W porównaniu z represjami wobec Polaków, które były surowe, ale raczej wybiórcze, dotyczyły wybranych osób, represjom wobec Żydów nadano od razu charakter masowy, totalny, choć początkowo względnie łagodny. Dotyczyły one wszystkich Żydów, nawet do któregoś pokolenia... Zaczęło się od plakatów obrzydzających Żydów jako takich. Jeden z nich, pamiętam: z odrażającym

obrazem niby-Żyda i napisem „Żydzi – wszy – tyfus plamisty”. Jednocześnie wydano zarządzenie, aby wszyscy Żydzi, chyba od 10 roku życia nosili znak ich identyfikujący – gwiazdę Dawida. Początkowo żółtą na piersi, potem – niebieską na rękę, w formie opaski. W warunkach narastających szykan był to dla nich nie honor, ale upokorzenie, a dla Niemców – wskazanie potencjalnych ofiar... Przy tym pomniejsze upokarzające nakazy: aby Żydzi kłaniali się mijanym Niemcom, ustępowali im drogi itp... Represje stopniowo eskalowały, stawały się coraz ostrzejsze i dolegliwsze.

Jednak jak sięgam pamięcią do tamtych czasów, najsilniej pozostało we mnie wspomnienie nagłego zamarcia żydowskiego miasta w Łęcznej. Była przecież tu od zawsze: żywa, aktywna, wesoła, a zarazem dziwnie kontemplacyjna społeczność orientalna, której wszędzie w miasteczku było pełno i nagle – przestała być... Nie wiem nawet, co sprawiło, że tak to odczułem i zapamiętałem. Przecież ludzie ci fizycznie jeszcze egzystowali, funkcjonowali, nasi żydowscy lokatorzy jeszcze w naszych domach mieszkali... Być może przyczyną było to, że jednym z pierwszych zarządzeń nowych władz był zakaz handlu i usług żydowskich, a więc odebranie tym ludziom ich tradycyjnych, ale i elementarnych podstaw egzystencji, a nam – tradycyjnych, codziennych z nimi kontaktów. W konsekwencji tradycyjne centrum handlowe miasteczka, jego serce – rynki przestały funkcjonować, stały się martwe. Ludzie, choć jeszcze żyli, byli jak sparaliżowani... nie pamiętam żadnych rozmów z naszymi sąsiadami w tamtym okresie, choć myśmy ich nie unikali, mimo że był też chyba taki zakaz. Nie pamiętam też czy czasem zachodziłem na te martwe rynki?... Raczej nie. Nasi sąsiedzi byli, ale jakby ich nie było... Nie w pełni zrozumiałe, ale silnie przeżyte takie właśnie wspomnienie...

Stan taki trwał od października 1939 r. do jesieni 1942 r., tj. od początku okupacji do utworzenia w Łęcznej getta i jego likwidacji, w sumie – około trzech lat. Niemą, biorąc pod uwagę treść, jaką okres ten był wypełniony: narastające nękanie, nieludzkie pastwienie się, wreszcie mordowanie ludności żydowskiej. Na początku chodziło przede wszystkim o odebranie posiadanych przez tę ludność pieniędzy i kosztowności. Żądania przekazywano utworzonej Radzie Żydowskiej, której zadaniem było, przy pomocy utworzonej także policji żydowskiej, ich wymuszanie od wszystkich, zwłaszcza bogatych, ale także biednych. Działalność tę prowadzili żandarmi niemieccy, wspomagani miejscowymi folksdojcami. Jednego z tych ostatnich zapamiętałem szczególnie. Nazywano go Beker, pewnie takie było jego nazwisko, z pochodzenia Niemiec, podobno rolnik z jakiejś podłęczyńskiej wsi, gdzie mieszkało sporo niemieckich kolonistów. Grasował po Łęcznej, tęgi byczyśko, w czarnym mundurze służby pomocniczej, z pejcem w ręce, siejąc postrach i przerażenie wśród Żydów. Jego zadaniem było „zmiękczenie opornych” w oddawaniu narzuconego haraczu. Robił to z sadystyczną satysfakcją. Byłem świadkiem, gdy znęcał się nad naszą sąsiadką, starą, schorowaną Ickową i jej

córkami. Skatował je do utraty przytomności, chyba za synów, którzy się ukryli. Nie wiem, czy był skuteczny w uzyskiwaniu skrywanych pieniędzy, ale paraliżował strachem i katowaniem bezbronnych ludzi, był w tym niezmiernie gorliwy, wręcz rozkoszował się tym procederem, odrażający degenerat.

Kolejną formą represji był nakaz, by Żydzi opuszczali lepsze mieszkania w mieście, zwłaszcza te położone w dzielnicy polskiej i przenosili się do dzielnicy żydowskiej (jeszcze nie getta). Dotyczyło to m.in. bezpośrednio naszych lokatorów. Państwo Segalowie przenieśli się posłusznie natychmiast z naszego starego domu do kogoś przy Rynku II, a może po prostu do swojego sklepu-warsztatu (pan Segal był czapnikiem)? W każdym razie zniknęli, pozostawiając puste mieszkanie. Państwo Goldbergowie, którzy mieszkali w naszym nowym domu, na parterze, nie mieli gdzie się przenieść, liczyli też zapewne na to, że mój ojciec, pracując w magistracie, obroni ich jakoś. Więc mieszkali dość długo jeszcze, co najmniej kilka miesięcy... Moi rodzice nie wywierali na nich żadnej presji. Byli w końcu jedną chyba rodziną żydowską mieszkającą poza żydowską dzielnicą. Mieszkaliby zapewne jeszcze dłużej, gdyby nie przypadek, zostali odkryci przez żołnierzy niemieckich, poszukujących kwatery dla swojego oficera. Wybuchła afera, którą udało się ojcu uciszyć, ale państwo Goldbergowie musieli się przenieść, z tym że nie do dzielnicy żydowskiej, ojciec znalazł im mieszkanie tuż obok nas, przy ulicy Litewskiej, chyba pożydowskie i nawet większe od tego, które zajmowali u nas, tam się przenieśli. Ich mieszkanie w naszym domu zajął oficer niemiecki.

Nie cieszyli się, niestety, długo spokojem w tym względnie uprzywilejowanym wówczas miejscu zamieszkania. Wkrótce zaczęły się transporty Żydów do tzw. obozów pracy. Niemcy określali ilość osób do wywózki i jej termin, Żydzi sami musieli wyznaczyć te osoby i dopilnować (przy pomocy swoich policjantów), aby się w wyznaczonym czasie i miejscu stawili. Powstał właśnie obóz w Trawnikach. Do „pracy” w tym obozie mieli być wyznaczeni starsi mężczyźni (!?). Jednym z nich został pan Goldberg, do niedawna nasz lokator i najbliższy sąsiad, człowiek godny, szanowany. Był to cios dla rodziny – żony (do niedawna jeszcze buńczucznej), córki Poli, syna Luzerka. Posłusznie poszedł. Gnali ich piechotą, zabijając po drodze tych, którzy nie byli w stanie iść. Nie wiem, jakie były dalsze losy pana Goldberga... Jakiś czas potem płynęły Wieprzem liczne nagie trupy mężczyzn, mówiono, że to z Trawnika...

Nieco później formowano inną grupę, na wywóz do Bełżca, raczej młodych mężczyzn „do budowy tam obozu...”. Do grupy tej wyznaczono m.in. mojego przyjaciela, kilkunastoletniego wówczas Alte Segala, syna naszego do niedawna lokatora (w starym domu). Nie bacząc na zakazy, przyszedł do mnie z konkretnym pytaniem, poradzić się: „jechać do Bełżca, czy iść do lasu...?”. Nie wiedziałem, co mu poradzić, wydawało się, że bezpieczniej jest jechać do Bełżca... „popracujesz, ale będziesz żył...”. Nie mieliśmy pojęcia, co

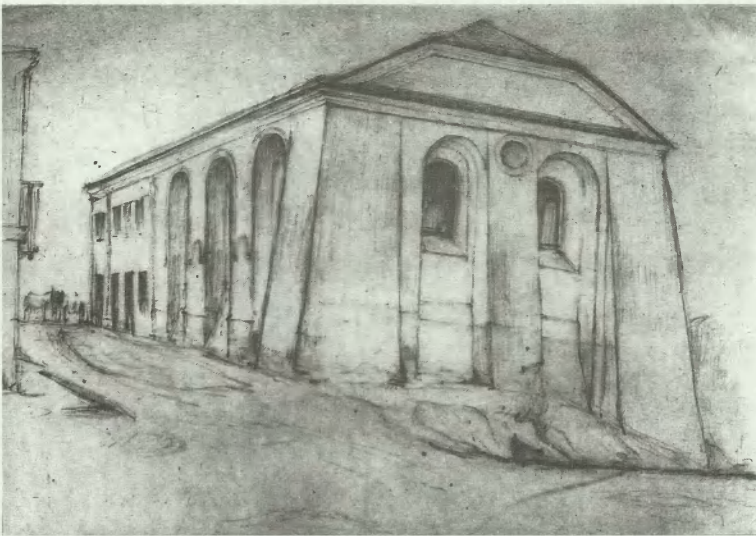
znaczy „Bełżec”, ale „las” wydawał się mi straszniejszy w ówczesnych warunkach, przecież Żydzi mieli zakaz wychodzenia z miasta... Alte jednak przeczuwał trafniej niż ja... Pojechał, więcej go nie zobaczyłem. Do dziś jest mi niezmiernie przykro, że nie wsparłem jego pomysłu, aby pójść raczej „do lasu”, może miałby szansę?... Ale wówczas nie mieliśmy jeszcze pojęcia o rozmiarach dokonywanego ludobójstwa. W głowie się to nie mieściło.

Rok 1942. Lato. Byłem w domu u rodziców, początek wakacji. Wczesnym rankiem, o świcie zbudziły nas dziwne hałasy w pobliżu. Przez nasze podwórko przebiegali żołnierze w mundurach tzw. własowców (formacji utworzonych z byłych radzieckich jeńców wojennych), widząc nas w oknie, rzucili pytanie: „Jude (Żydzi)?”. Zaprzeczyliśmy. Pobiegli dalej. Był to dzień utworzenia w Łęcznej getta. Faktycznie chyba niewiele się zmieniło, ale przestały istnieć ostatnie enklawy rodzin żydowskich poza terenem dzielnicy żydowskiej, zmniejszonej do granic getta. Reszta rodziny państwa Goldbergów została tam też przepędzona. Zaostrzono zakazy opuszczania getta przez zagnanych tam Żydów – kara śmierci..., jak też ich kontaktów z Polakami. Utraciliśmy ostatnie kontakty z naszymi sąsiadami... Przestaliśmy w ogóle widywać Żydów w Łęcznej. A przecież jeszcze byli, i to nie mało, chyba około trzech tysięcy ludzi, w tym wszyscy nasi żydowscy znajomi... stłoczeni, zniszczeni, śmiertelnie przerażeni... kilkadziesiąt metrów od nas, a jakby ich nie było...

Nie było to getto ściśle odgródzone, jak warszawskie czy lubelskie, ogrodzeniem były raczej owe bezwzględne zakazy i groźba śmierci – zastrzelenia na miejscu... W związku z tym przeżyłem zdarzenie, które pamiętam dokładnie do dziś. Poszedłem na samotny spacer, nad Wieprz, dołem parku, w kierunku Witaniowa. Ku mojemu zdumieniu minął mnie idący tą samą ścieżką, ale w odwrotnym kierunku, z Witaniowa do Łęcznej, a więc wracający do getta, stary Żyd. Z długą brodą, w tradycyjnym chałacie, w jarmulce... nie starał się kamuflować swojej tożsamości, jakby było mu już wszystko jedno... W obu kieszeniach chałatu niósł dwie litrowe butelki mleka... to był więc powód skrajnie ryzykownej wypawy zdesperowanego człowieka – poszedł kupić mleko do znajomych na wsi i niósł je do domu... Niewątpliwie narażał się na śmierć, ale mleko było więcej dla niego warte. Minęliśmy się na wąskiej ścieżce, niemal ocierając się o siebie. Bardzo mi współczułem... Nie odszedł nawet stu metrów dalej, gdy natknął się na grupę wyrostków, dorosłych dzieci fornali z Podzamcza, dla których stał się niespodziewaną uciechą. Wołając „Jude, Jude” rzucali w niego kamieniami... Żyd zaczął uciekać, ci go gonić... Jakiś kamień rozbił mu butelkę z mlekiem, widziałem jak wylało się po chałacie..., nie wiem czy drugą uratował, czy dotarł do getta... zniknęli mi za drzewami parku, zarówno on, jak i jego napastnicy... Nie znam dalszego ciągu zdarzenia, ale do dziś się wstydzę za tych chłopaków, a także i mojej wówczas bierności, nie miałem niestety szans, tych łobuzów było wielu, około dziesięciu, w tym kilku starszych,

silniejszych ode mnie i byli w prawie, robili to, co władzom się podobało, do czego zachęcały... Bardzo mi przykro do dziś.

Ostatni mój bezpośredni kontakt z Żydami z łączyńskiego getta był w drodze do Lublina. Jeździli wówczas na tej trasie dziwne pojazdy: niby karoserie niewielkich autobusów, ciągnięte przez konie. Takim to pojazdem, w strasliwym tłoku, jechałem do Lublina do szkoły po niedzieli spędzonej u rodziców w Łęcznej. Przypadek zrządził, że bezpośrednimi moimi sąsiadami w tym zatłoczonym pojeździe byli żydowski policjant i towarzyszący mu jakiś pan, też Żyd, z opaską. Przez całą drogę rozmawiali, ja słuchałem. Pan mówił pięknie po niemiecku, policjant w jidysz. Jechali urzędowo do Lublina w sprawie leków dla łączyńskiego getta. Okazało się, że pan jest lekarzem, profesorem z Berlina. Niedawno został przesiedlony stamtąd do getta w Łęcznej. Był w rozpaczliwym stanie ducha. Tuż przed przesiedleniem, jeszcze w Berlinie, zmarła na serce jego żona, nie wytrzymała. Przesiedlili go więc tylko z synkiem, 11-letnim, jedynym ukochanym jego dzieckiem. I właśnie tego chłopaczka poprzedniego dnia wyselekcjonowano z grupą dzieci i wszystkie zabito... Zrozpaczony ojciec nie mógł tego pojąć ani



Bożnica w Łęcznej, przed nią wąwóz – miejsce masowej eksterminacji Żydów, rys. Romuald Dylewski, 1949 r.

przeżyć, powtarzał w kółko: „was fuer ein intelligentes Kind... warum...?” („co za inteligentne dziecko... dlaczego...?”). Do dziś mam w uszach te słowa... Pokazywał, miał je z sobą, zdjęcia z ich dobrych czasów w Berlinie. Należał tam zapewne do elity.

3. Dzień zagłady

Jesienią 1942 roku, chyba w październiku czy listopadzie, po kilku miesiącach względnie spokojnej egzystencji łączyńskiego getta rozeszły się głosy, że będą je likwidować. Był to czas, kiedy już wiadano, co to może znaczyć. Co najmniej od początku roku docierały tu coraz gorsze wieści o losie gett w Generalnej Guberni. Tym razem nie były to już plotki, wyznaczono formalnie termin. Chodziło jednak – jak się okazało – nie tyle już o likwidację, co o okup, „wykupienie się”, wyduszenie z mieszkańców getta resztek pieniędzy i kosztowności. Owo „wyduszanie” trwało przez

kilka tygodni. Wyznaczano coraz nowe terminy i cynicznie zbierano łupy... Atmosfera nawet w aryjskiej części miasta stawała się nieznosna, można sobie wyobrazić, jak się czuli mieszkańcy getta. Niektórzy nie wytrzymywali.

Eskałacji napięcia i coraz bardziej beznadziejnych perspektyw nie wytrzymał nasz znajomy lekarz, doktor Zeman (ten, który tuż przed wojną radził się mojego ojca, jak zabezpieczyć pieniądze, które ma, i myślał o kupnie szybu naftowego w Boryslawiu...). Szukając jakiegoś ratunku, pojechał z całą rodziną do Lublina. To mu się udało, był zamożny. Gdy zobaczył, że i w Lublinie nie ma szans – popełnił samobójstwo, on i wszyscy członkowie jego rodziny. Tak zginął jego syn Gutek Zeman, kolega szkolny mojego młodszego brata Ludomira.

Nie wytrzymała również nasza bliska znajoma Gienia Gieldman (jej zdjęcie, z moją siostrą, w poprzednim artykule tego cyklu) ta, która nie zdążyła wyjechać z mężem do Stanów Zjednoczonych. Wczesną wiosną 1939 roku był ich ślub, mąż zaraz potem wyjechał, ona „miała lada dzień dostać wizę, wszystko do wyjazdu było gotowe”... Według wiadomości, jakie do nas dotarły, „zbuntowała się...”, nie wiemy dokładnie jak. Ale nas to nie zdziwiło, była do tego zdolna, silna, prawa osobowość. Zginęła, zastrzelili ją indywidualnie, nie czekając na mord masowy.

Wreszcie nadszedł ów listopadowy dzień. Znam go z gorących relacji mojej rodziny, gdy przyjechałem tuż potem z Lublina na niedzielę, byli jeszcze w szoku... Zaczęło się od przyjazdu do miasta znacznej liczby „własowców” z Niemcami. Przyjechali rano i zaczęli od śniadania, faktycznie – picia wódki w restauracji. Był to wyraźny sygnał tego, co miało nastąpić, ludzie uciekali do domów. Przyszedł też mój ojciec z magistratu, w domu wydawało się bezpiecznie. Atmosfera stawała się straszna. Na ulicach pijani „własowcy”... Mord zaczął się koło południa i trwał kilka godzin... Zabijano ludzi partiami nad brzegiem wąwozu przy bożnicy, nieco ponad sto metrów od naszego domu, niemal w miejscu moich dziecinnych zabaw. Zabici lub ranni wpadali do wąwozu i tam byli przysypywani ziemią... Przed egzekucją prowadzono selekcję, część ludzi zostawiano, część kierowano do wąwozu. Nie zawsze to się udawało. Naszą dentystkę, panią doktor Esterę Mandeltort wyselekcjonowano do pozostania, jej małą córeczkę – do wąwozu. Córeczka nie chciała odejść od mamy, rozpaczliwe płakała, mama wzięła ją na ręce i poszła razem z nią – do wąwozu... Mimo że działo się to tak blisko od naszego mieszkania, podobno niewiele było słychać. Może z powodu ukształtowania terenu, może przysłaniały budynki, może z nadmiaru napięcia, w każdym razie moja rodzina zapamiętała raczej ciszę... A zamordowano wtedy strzałami karabinów maszynowych około tysiąca osób... mieszkańców Łęcznej i osób zwiezionych tu w międzyczasie z różnych stron.

Pozostałych przy życiu, podobno około dwóch tysięcy wyselekcjonowanych osób, zagnano w ciągu kilku następnych tygodni do „oboza pracy przymusowej” w Trawnikach. Getto pozostało puste... SKOŃCZYŁA SIĘ KILKUSETLETNIA

HISTORIA ŻYDÓW W ŁĘCZNEJ. W przeżyciach i pamięci ówczesnych mieszkańców miasta tym szczególnym przełomem, cezurą jego historii pozostaje jednak Dzień Zagłady... Potem było już tylko „sprzątanie”...

Faktycznie zabijanie trwało jeszcze przez kilka dni. Było to wyłapywanie i mordowanie Żydów, którym udało się jakoś wymknąć i ukryć. Niemcy są dokładni, musieli dokonać swego dzieła perfekcyjnie. Ta akcja „porządkowa” zaczęła się natychmiast po mordzie masowym. Była też szczególnie głęboko przeżyta przez moją rodzinę, bo niektóre jej epizody działały się już nie „za pagórką”, ale tuż przed naszym domem, przed naszymi oknami, na ulicy Lubelskiej. Tak na oczach całej mojej rodziny żandarm niemiecki zastrzelił naszą starą, biedną sąsiadkę, nazywano ją „Cytrynką”, bo sprzedawała w koszyczku cytryny, na ogół u niej je kupowaliśmy. Pocziwa, życzliwa ludziom, samotna, wychudzona, schorowana kobieta. Miała śmierć szczególnie dramatyczną, bo Niemcowi, który ją wyszukał i zamierzał właśnie zastrzelić, zaciął się karabin, musiała cierpliwie czekać, leżąc u stóp swojego mordercy. W ten sposób, przed naszymi oknami, zginęli jeszcze dwaj inni starsi wiekiem Żydzi, wyciągnięci z ich kryjówek... Następnie jeździły pełne trupów furmanki, zbierając ciała.

Dla naszej rodziny nie był to koniec przeżyć. W kilka dni po masakrze pojawił się u nas niespodziewanie Luzerek, syn pana Goldberga, naszego lokatora. Przyszedł w strasznym stanie, brudny, głodny, przerażony, prosząc o pomoc, schronienie. Jak opowiadał, udało mu się uciec z getta i skryć się gdzieś w sąsiedniej wsi, w stogu siana. Przesiedział tam kilka dni, ale nie mógł już dłużej wytrzymać, przyszedł więc... też mu się udało, choć poszukiwania uciekinierów jeszcze trwały... Stał się nie lada problemem, w każdej chwili mogli przecież do naszego domu wtargnąć poszukujący, konsekwencje byłyby jednoznaczne, dla niego i dla nas... Luzerek był tego też świadom. Rodzice moi przyjęli go oczywiście. Posilił się, umył, poczym ciotka Wikta schowała go na stryszku naszego nowego domu, ponad mieszkaniem na poddaszu. Nie była to kryjówka wygodna, ledwie półtora metra wysokości, ale w naszym mniemaniu względnie bezpieczna. Siedział tam, odpoczywał, miał szansę przeżyć... Jego stan psychiczny był jednak tak marny, że i tam nie mógł dłużej przebywać, po kilku godzinach zaczął stukać, prosił, aby go wypuścić, że woli schować się w krzakach, na wolnym powietrzu, na sąsiedniej posesji (na działce Wójcików). Przemknął się. Niestety tu dotychczasowe szczęście go opuściło. Z sąsiedniego wzgórza dostrzegł go jeden z przeszukujących teren Niemców, podobno ów folksdojcz Beker, sadysta, znęcający się nad Żydami od początku okupacji. Luzerek próbował uciec, skrył się na podwórku jednego z sąsiednich, opuszczonych przez Żydów domów na ulicy Krętej. Tam go Niemiec dopadł, dla uciechy nie zastrzelił, ale zabawiając się zadłgał bagnetem...

O straszliwej grozie tych dni świadczył w szczególnie sposób Wojciech Wiecek, mój brat cioteczny (późniejszy autor m.in. książki o Łęcznej „Szkice z prowincji”), który jako

14-letni chłopiec mieszkał wówczas z nami w Łęcznej. Mimo że jak reszta rodziny nie wychodził z domu, przeżywał tylko atmosferę tamtego czasu i widział przez okna fragmenty tego co się działo, nie mógł się pozbyć tych wspomnień przez całe życie... W ostatnich dniach przed śmiercią (zmarł w Warszawie, w 2012 roku), ku zdumieniu rodziny, wspominał wyłącznie te wydarzenia... jakby go nic innego nie interesowało, jakby tylko te przeżycia były dla niego ważne.

Na koniec warto wspomnieć o dwóch nietypowych incydentach w tamtych dniach... O jednym pisałem już w poprzedniej części tych relacji. O przechrzczonej Żydówce, gorliwej chrześcijance. Ją też znaleziono w tych dniach poszukiwani ukrywających się Żydów... Prosiła swojego oprawcę o jedną łaskę, aby zechciał ją zabić... pod krzyżem. Ten – co niewiarygodne, ale prawdziwe – zgodził się. Poszli, nawet dosyć daleko, pod figurę na Pasterniku i tam ją zastrzelił, zgodnie z życzeniem... Bardzo żałuję, że nie pamiętam nazwiska tej niezwykle łącznianki... Drugi incydent to sprawa Szańci Lichtenberg. Ta łącznińska piękność, kobieta „wyzwolona”, wpadła w oko komendantowi żandarmerii, wziął ją do siebie. Nie długo się nią cieszył, po kilku tygodniach dostał polecenie, aby się jej pozbyć i posłusznie to spełnił.

Gdy przyjechałem do Łęcznej na najbliższą po tym wszystkim niedzielę, nie dowierzałem wieściom, jakie do mnie dotarły. Lekki fetor unoszący się wokół wąwozu zdawał się potwierdzać jednak niewiarygodne fakty. W tydzień potem nie było już żadnych wątpliwości, fetor rozkładających się ofiar był straszliwy... przysypano je potem grubszą warstwą ziemi.

4. Po dniu zagłady

Od początku okupacji aż do Dnia Zagłady Getta, ściślej – do wywozu resztki jego mieszkańców do Trawniki, nie chodziłem do dzielnicy żydowskiej, tj. na rynki II i III, bo było to przykre i formalnie zakazane – „kontakty z Żydami”. Po tem zakazów nie było, chodzić znów było można, ale niewiele z tego korzystało, wrażenie było straszne: dzielnica nie tak dawno jeszcze pełna życia, bawiących się dzieci, siedzących pań i aktywnych panów, znajomych, sąsiadów, przyjaciół... teraz martwa. Sklepy i domy zamknięte, na początku jeszcze nienaruszone, takie, jak zostawili je ich mieszkańcy, jakby mieli zaraz wrócić i je pootwierać... Pustka, cisza. Ludzie instynktownie unikali tych wizyt.

Po jakimś czasie, powoli, życie zaczęło wypełniać powstałą pustkę. Pamiętam, bolał mnie ząb, poszedłem do nowego dentysty, jakiegoś Ukraińca, który wprowadził się na miejsce pani doktor Mandeltort, zajął oczywiście jej gabinet, wiercił zęby jej wiertarką, na ścianie jej obrazki... Dziwne i smutne... Zaczęto otwierać pożydowskie sklepy, będące teraz własnością państwa, a więc niemiecką, w zarządzie władz miasta. Obowiązkiem władz było uruchomienie tych sklepów, oferowały je na bardzo korzystnych warunkach, spłaty ratalnej za wartość towarów (według cen oficjalnych, a więc niskich) i niewielkiego

czynszu za lokal. Pamiętam, pierwszymi nowymi sklepikarzami byli moi koledzy z Lublina, którzy w ten sposób starali się zniknąć z miejsca dotychczasowego zamieszkania, bo byli tam poszukiwani przez gestapo... Po jakimś czasie sklep z materiałami żelaznymi („sklep Ryfki”) nabył również mój stryj Bolesław, pozbawiony środków do życia. Wspomagał nim całą rodzinę, nieźle mu szło. Materiały żelazne – na obręcz do kół, siekiery, łopaty itp. były materiałami pierwszej potrzeby dla okolicznych rolników. W ten sposób rynki częściowo ożywały, choć niewiele przypominało to życie, gdy władali nimi ich pierwotni właściciele, z rynków tych wyrosli... Miasto, mimo że wszystkie budynki przetrwały, zmieniło się nie do poznania. Zostało pozbawione nie tylko ponad połowy mieszkańców, ale też jakiejś, trudnej do określenia, ale niewątpliwie niemałej wartości niematerialnej...



Miasto żydowskie
w Łęcznej, plac
przed bożnicą
– pustka bez Żydów,
rys. Jadwiga
Kaznowska-
Dylewska, 1949 r.

Niestety, rozpoczęły się także kradzieże mienia żydowskiego, niszczenie budynków dla pozyskania materiałów. Nie uszanowano nawet synagogi, która stała się źródłem darmowych cegieł. Tak było aż do lipca 1944 roku, do końca okupacji... Wyzwolenie powitała Łęczna jako zupełnie inne miasto, choć minęło niecałe pięć lat od jej dawnej, historycznej postaci i treści i niecałe dwa lata od Dnia Zagłady. Niedługo po wyzwoleniu Ministerstwo Kultury podjęło zabezpieczenie i renowację bożnicy... był tego najwyższy czas, jeszcze trochę i z tej jakże ważnej dla historii i kultury miasta okazałej budowli nic by nie pozostało...

Też już po wyzwoleniu znaleźliśmy na strychu cztery lichtarze szabasowe, w tym jeden mały, dziecinny, państwa Goldbergów. Schowali je tam zapewne, gdy musieli się wynieść z naszego domu. Po latach, będąc w Nowym Jorku, próbowałem odnaleźć Bogusia Goldberga, syna naszego lokatora (i męża Gieni Gieldman), tego, który tam

wyemigrował tuż przed wojną, z nadzieją, że będzie zainteresowany lichtarzami swoich rodziców. Niestety nie znałem ani jego adresu, ani nawet formalnego imienia, a Goldbergów w Nowym Jorku jest mnóstwo, kilkadziesiąt stron książki telefonicznej.

5. Kilka końcowych refleksji – Łęczna bez Żydów

Nie sposób jest zakończyć cykl wspomnień o żydowskiej Łęcznej i o jej tragicznym losie bez kilku choćby refleksji... W skali zarówno szerszej – polskiej, europejskiej, jak i tym bardziej lokalnej, łęczyńskiej było to wydarzenie historyczne i cywilizacyjne o wielkim, nie w pełni jeszcze pojętym wymiarze i skutkach.

Gdy owej jesieni 1942 roku, nieco ponad siedemdziesiąt lat temu, Łęczna została bestialsko

„oczyszczona” z Żydów, stała się – niemal jednego dnia – miastem bez Żydów. Choć żyli tu oni ponad 500 lat, stanowili ostatnio ponad połowę jego społeczności, od wieków współtworzyli to miasto zarówno w sensie fizycznym, jak i kulturowym, duchowym. Tworzyli, w dużej mierze, jego oblicze. Odeszli, pozostawiając dosłownie wszystko co posiadali, może z wyjątkiem pieniędzy i kosztowności, z których oprawcy przedtem skutecznie ich ograbili... Do naszych czasów zachowało się przede wszystkim ich fizyczne siedlisko, ich dzielnica: rynki, ulice, większość placów i budynków... Jest ona słusznie uznana za zabytek kultury i objęta – w myśl wymogów naszej konstytucji – ochroną. Należy chronić te wartości rzeczywiście, z sercem i zrozumieniem, są tego godne. Nie tylko dlatego, że reprezentują w znacznym stopniu, mimo pozorów bylejałości, wielką, starożytną kulturę orientalną, wzbogacającą tym i naszą przeszłość, ale i dlatego, że jest to spuścizna życia pokoleń całej żydowskiej społeczności naszego

miasta. Byli oni przecież naszymi, naszych rodziców, dziadków, pradiadków... sąsiadami, znajomymi, nierzadko – przyjaciółmi...

Jacy to byli ludzie? Etnicznie określani, ale oczywiście różni: z zaletami i wadami, lepsi i gorsi, chytry i rzetelni, pyszni i skromni, bogatsi i biedniejsi, także bardzo bogaci i skrajnie biedni, mądrzy i tacy sobie, irytujący, ale i ujmujący serdecznością... po prostu LUDZIE. Mieli też cechy wspólne, te, które wynieśli i zachowali ze swojej dawnej tradycji Bliskiego Wschodu, jak i te, które nabyli przez stulecia życia w diasporze i które często irytowały ich polskich współziomków: jak na przykład wyjątkowo skuteczne talenty handlowe, z którymi trudna była konkurencja... ale także głęboki, choć odmienny zmysł religijny (nawet u tych niby niewierzących).

Zginęli niemal wszyscy. Wydaje się, że należy się im pamięć naszego miasta, bo w jakimś sensie, to też Ich miasto... Pamięć wyrażana pogłębianą

wiedzą o „Łącznej Dwóch Narodów”, szacunkiem do zachowanych relikwów, upamiętnieniem osób i faktów (na przykład w nazewnictwie miejsc itd). Ale także – sprzeciwem wobec absurdałnych, wręcz surrealistycznych obecnie postaw i aktów antysemityzmu. Oby ich w Łącznej, choćby ze względu na naszą wspólną pamięć... nie było.

Dla mieszkańców dzisiejszego, ponad 20-tysięcznego, powiatowego miasta, stolicy węglowego zagłębia, miasta o wielkich perspektywach, przyszłości, ale o korzeniach tamtej Łącznej, która skończyła się w 1942 roku, tj. zaledwie około 70 lat temu, wspomnienia o tamtych czasach powinny mieć zatem wartość nie tylko ciekawostki historycznej, powinny też zobowiązywać... Warto pamiętać, że Łączna była wówczas przykładem dojrzałej, rozsądnej harmonii współżycia tych dwóch, jakże różnych narodów... Harmonii dobrze świadczącej o rozsądku, mądrości i kulturze obu łączyńskich społeczności...

70. rocznica zbrodni niemieckiej w Kolonii Ostrówek

Kazimierz
Woś

W niedzielę 6 kwietnia 2014 r. społeczność gminy Milejów uczciła 70. rocznicę zbrodni niemieckiej w Kol. Ostrówek. Podniosła uroczystość z tej okazji rozpoczęła się o godz. 15 w tutejszej remizie strażackiej. Wśród zebranych były władze gminy z wójtem Tomaszem Surysiem i przewodniczącym Rady Gminy Andrzejem Wirskim na czele. Byli też przedstawiciele instytucji i szkół gminnych, poczty sztandarowe, liczni mieszkańcy Kol. Ostrówek, a wśród nich członkowie rodzin ofiar zbrodni, młodzież szkolna oraz goście z innych miejscowości gminy Milejów. Uroczystości przewodniczył Mieczysław Gajowiak – prezes Towarzystwa Przyjaciół Milejowa. Po odśpiewaniu hymnu państwowego poszczególne delegacje złożyły wieńce i zapaliły znicze przy znajdującym się obok remizy pomniku pomordowanych mieszkańców wsi. Strażacy i harcerze zaciągnęli przy nim wartę honorową. Następnie nauczyciel Kazimierz Woś we wstępie historycznym przedstawił okoliczności zbrodni i jej ofiary. Zasadniczą częścią uroczystości była msza św. odprawiona w intencji ojczyzny i pomordowanych mieszkańców Kol. Ostrówek. Mszę koncelebrowali ks. Teodor Bartecki – proboszcz parafii Łąncuchów, i ks. Piotr Kasprzak – wikariusz z Łącznej, który wygłosił także piękną homilię, łączącą treści religijne i patriotyczne. Po zakończeniu mszy św. odczytano apel pamięci

narodowej. Część oficjalną uroczystości kończyły wystąpienia p. Wójta i p. Mieczysławy Skoczylas-mieszkanke Kol. Ostrówek. W swoim wspomnieniu p. Skoczylasowa zawarła przerażający obraz, jaki zastał jej ojciec Wacław Steć w swoim gospodarstwie kilka godzin po dokonanej zbrodni. Żona Magdalena, na wpół spalona, leżała pod oborą, pięcioletni synek Władzio leżał pod wozem w budynku gospodarczym, a siedmioletni Gienio – koło studni; wszyscy zabici. Budynki były spalone. Po krótkiej przerwie nastąpiła część

Występ dzieci ze szkoły podstawowej w Ostrówku, fot. S. Sochacki

